

Po chwili milczenia odpowiedziała, że ma dwoje dzieci, czterdzieści pięć lat i budzi się co noc z płaczem, stąd te worki pod oczami. Rok temu mąż zginął w wypadku. Był sprawnym kierowcą, nie pił, rozsądny, troskliwy, nawet trochę zbyt pedantyczny, więc nie wiadomo, dlaczego wjechał na drzewo z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, na prostej drodze, w biały dzień, przy dobrej widoczności, samochód w najlepszym porządku, tuż po przeglądzie. Policjanci twierdzili, że popełnił samobójstwo, ale jak to możliwe? Zupełnie niemożliwe. Wyklucza. To nie był typ depresyjny. Nie miał powodu. Mówiła dalej, że jesteśmy gołą zależnością od Stwórcy. To pewne. Być może przygląda się uważnie swemu dziełu odmierzając czas skończoności i w nim rozpoznając swój ból. Albo też stwarza świat co chwilę i od nowa, obdarowując nas nostalgicznym pragnieniem tajemnicy, która jest Jego cierpieniem. Wszystko jest przewidziane i dlatego jesteśmy wolni. Zapytałam, czy chciałaby mieć jeszcze jedno dziecko. Odpowiedziała, że w sensie biologicznym mogłaby mieć i wyszła z pokoju.

Mieszkam u niej. Prowadzę firmę. Spokojna praca. Wieczorami odrabiam lekcje z jej dziećmi. Chyba nie za bardzo mi ufają, ale na wszystko przyjdzie czas. Ona wraca z dyżuru. Jemy kolację. Zmywam naczynia. Siadamy przy oknie, gasimy światło i wpatrujemy się w ciemność.

Dalej są drzewa, potem błotnista droga, podmokłe pola. Gałęzie sosny zasłaniają niebo, więc nie widzę gwiazd i księżyca. Domyślam się tylko, że coś tam jest, ale co? Zaczynam od siebie. Jeśli jestem ja, i jeśli są inni, i możemy zadawać sobie wzajem ból, i odczytywać z niego cienie prawdy, i jeśli też możemy się powstrzymać, świadomie odmówić działania, to znaczy, że coś jest. Może chłód wiecznego wybaczenia? Może? I wtedy wiem, że jestem szczęśliwy; szczęśliwy na miarę, która jest moja."

Zapisałem wiernie, słowo po słowie, wyznania mego szkolnego kolegi, a kopię przestałem do wiadomości pewnemu poecie, pewnemu wydawcy i pewnemu pisarzowi. Wszyscy trzej to ludzie doświadczeni, szanowani i wybitni. Pierwszy odezwał się wydawca: „...bardzo przejmujące i całkowicie niezrozumiałe. Nie pojmuję celu tej opowieści. Jest pozbawiona wyrazistych konturów i jasnego osądu moralnego”. Tydzień temu zadzwoniła żona poety. Usłyszałem głos rozedrgany szlochem. Zabarykadował się w pokoju, nie chce jeść, żąda wódki i, wykrzykując co jakiś czas groźby pod adresem tych, co zawiązali złowrogi spisek, konspirację, chcąc okraść go na starość z talentu. Potem zapytała, czy znam jakiegoś dyskretnego psychiatrę, bo ona już nie może tego wytrzymać. Więc nie miałem śmiałości zapytać o opinię na temat spisanych przeze mnie wyznań. Z kolei pisarz rozsądnie zauważył, że przeceniam cierpliwość czytelników. „Przeczytałem twój tekst dwukrotnie, a mimo to nie umiałbym go streścić. Kto jest kim? Kto kogo szpieguje? Dlaczego wszystko jest za mgłą, w labiryncie bez wyjścia? Dzisiejszy czytelnik jest zmęczony. Potrzebuje czegoś innego. Pamiętaj, że najważniejsza jest jasność myśli i służebna prostota słów. Powinieneś wprowadzić poprawki albo, jeszcze lepiej, całą rzecz przebudować, napisać od nowa."

Pewnie ma rację, na pewno ją ma, nie podejmuję sporu, ale wydaje mi się, że aby przebudować cudzy los, napisać go od nowa, trzeba odwagi, której mój własny los mi poskąpił. Niech więc tak zostanie: relacja świadka, który nie powie więcej, bo męczy go cudza pamięć i własna też, męczą słowa i ich ukryte znaczenia. Obraz nieostry, ciemny, z ledwie widocznymi konturami drzew w oknie, które wypełnia chłodna noc. Niech tak zostanie.

Anna Adamowicz-Kędzierska

POŁAMANY WÓZ

OSOBY:

MATKA

OJCIEC

TERESA – ich córka

RYSZARD – ich syn

HELENA – żona Ryszarda

WŁADYSŁAW – krewny

Całą scenę zajmuje obszerna kuchnia, która spełnia także funkcję pokoju dziennego i sypialni.

Na środku stoi stół z krzesłami, pod lewą boczną ścianą wersalka, pod prawą rozkładany fotel, a przy nim duże meblowe radio.

Nadto w pomieszczeniu znajdują się: mała kuchnia węglowa, zlew, piec kaflowy, schowek ścienny przystońnięty kotarą, kredens, lodówka, toaletka z dużym stojącym lustrem, wiszący zegar w drewnianej obudowie.

Meble i sprzęty są stare i zniszczone, podobnie jak niemodne i sfatygowane są ubrania wszystkich postaci. Całość wyraźnie zdradza skromną sytuację finansową mieszkańców.

W kuchni jest dwoje drzwi – jedne prowadzą na klatkę schodową, drugie do pokoju. Okno – usytuowane na środkowej ścianie – wychodzi na ulicę małego miasteczka.

AKT I

Matka wygląda przez okno, Ojciec siedzi na fotelu i słucha radia, Teresa na wersalce przeglądając kolorowe czasopisma maluje paznokcie. Na krześle, odchylony do tyłu, śpi Władysław. Obok niego stoi stara, wytarta walizka.

Letni słoneczny dzień.

MATKA (wychylona przez okno) Wstyd! Tyle czasu nie zachodzić, nie odwiedzić, nie zająrzeć nawet. Wstyd! (po chwili z zalem) Poszedł.

nie rusza się, udaje, że nie słyszy) Ojciec zaraz odda, co wziął. (Ojciec wolno wyciąga zza poduszki karton po mleku i podaje Helenie; ta stoi dalej, mówi twardo) Co do jednego odda, co wziął. (Ojciec ociągając się jeszcze bardziej, wyciąga drugi karton, ma go już podać Helenie, ale spostrzega, że jeszcze coś zostało na dnie, żartocznie wypija i dopiero pusty oddaje; Helena patrzy na opakowanie niedowierzająco) Znowu wszystko ojciec wypił? (potrząsa kartonami) Wszystko. (idąc w stronę kredensu, potyka się o nogi Władysława) Jeszcze i ten tutaj potrzebny. (roześlona do Matki) Szkoda, że wszystkich, co nie mają gdzie mieszkać, mama nie zaprosiła. Weselej by było. (pauza) Żeby go jutro już tu nie widziała. (po chwili, z wahaniem) Chyba, żeby płacił.

MATKA Mojego syna, a twojego męża cioteczny brat? (błagalnie) Heluś...

HELENA Jak chce mieszkać, to ma płacić!

MATKA Jak on miałby z czego, to on by tu do nas nie przyjeżdżał. (prosząco) Siostry rodzonej syn. Heluś...

HELENA Milion miesięcznie.

MATKA (zrezygnowana staje za krzesłem Władysława, który w dalszym ciągu śpi; lekko głaszcze go po głowie) To on zapłaci. Jak tylko zarobi, od razu zapłaci.

HELENA (stawia kubek na kredensie, wyrzuca kartony do kubła, wraca do stołu) Byle szybko.

TERESA (przegląda się w lusterku, dotyka twarzy, z dezaprobatą) Ale ziemista... Ale szara... (bierze tubkę, nakłada na całą twarz maseczkę; do Władysława) Jadł coś kuzyn?

WŁADYSŁAW (zaspany) Co?

TERESA Jadł coś kuzyn?

WŁADYSŁAW Nie.

TERESA A pił?

WŁADYSŁAW Nie.

TERESA (rozsierdzona) Ani nie jadł, ani nie pił. Widzicie? Pół kraju przejechał i ani nie jadł, ani nie pił. (z wyrzutem) No to z czego ma żyć kelner dworcowy? Z czego – ja się pytam. (po chwili do siebie) Bo żeby był klient – to musi mieć gotówkę do stracenia.

MATKA (od okna) Terenia! Terenia! Znowu idzie.

TERESA (udaje, że nie wie, o kogo chodzi) Kto?

MATKA No, on. (pauza) Albo i nie on, bo z kobietą. To chyba nie może być on. (pauza) A wiesz, co on mi wtedy jeszcze powiedział? „Robotnik nie robotnik, chłop nie chłop, inteligent nie inteligent – bezrobotny to zawsze tylko bezrobotny i swoje cztery fazy przejść musi. Inaczej być nie może.” „A dlaczego nie może?” – ja się go pytam. „A tego, to akurat jeszcześmy w Urzędzie nie ustalili, ale nie może i już.” (znacząco) A potem to kilka razy o ciebie pytał. Słyszysz?

TERESA Nie.

MATKA Jak nie słyszysz, kiedy odpowiadasz. (drwiąco) Nie słyszysz, a cała czerwona. (wychyla się przez okno) Tak, wyraźnie z kobietą. Z tą... No wiesz... Z tą... No, to przecież nie może być on. Chodź, popatrz.

TERESA (demonstracyjnie rozkłada gazetę, zastania się nią) Nie pójdę.

MATKA Chodź.

TERESA Nie pójdę. (prześlonięta gazetą, na palcach, dyskretnie przesuwa się do okna, lekko unosi gazetę w górę i spod niej zerka; mówi cicho do siebie) On chyba. (tak samo prześlonięta gazetą wraca na poprzednie miejsce, po chwili ostentacyjnie) Jak powiedziałam, że nie pójdę, to nie pójdę.

HELENA (zniecierpliwiona) Mama bierze i podpala pod kuchnią. Na szóstą obiadu nie będzie. (do siebie) Cały dzień w oknie stać, konkurenta czekać, co go nie ma. (do Matki, głośnie) Jak kto się poważny trafi i bez mamy naganiania przyjdzie.

(pauza) Szczapy przyniosłam, jak mama lubi. Drobniotkie, suche. Tylko wziąć i rozpalać. (bierze się do sprzątania kuchni)

MATKA (niechętnie idzie w stronę pieca kuchennego) Już rozpalam... rozpalam... rozpalam... (bierze kilka drew w ręce, ale jeszcze zerka w stronę okna raz, drugi, pomału podchodzi do okna, opiera się o parapet, wyraźnie zapomina, co miała robić; refleksyjnie) Jak poszedł w tamtą stronę, będzie musiał tędy wracać. Nie ma inaczej.

RYSZARD (zbliża się do Władysława, ten zauważa to kątem oka i natychmiast tak się rozsiada i przytrzymuje boków krzesła, że Ryszard rezygnuje z tego, żeby przysiąść się doń, rozgląda się, w końcu siada okrakiem na stojącej koło Władysława walizce) Tyle lat zakład państwowy, nagle masz, jak grom nie państwowy. Tyle ten sam kierownik, ta sama dyrekcja, nagle zupełnie inna. (pauza) Jak się jest z kim pół życia – to się takiego już nieźle pozna, wie się co i jak. A z nowym... nic nie wiadomo. Ani w lewo, ani w prawo. (pauza) Z tamtymi to się dało żyć. (Władysław odwraca się z krzesłem plecami do Ryszarda, by spokojnie pośpać, ten jednak na walizce zajeżdża go od drugiej strony i przytrzymując nogę krzesła mówi dalej) Ty wiesz, jakie szumowiny ten nasz zakład kupił? (pauza, lekko rozsierdzony) Bo to są szumowiny i ja się niczego dobrego po nich nie spodziewam. Jak kto zaczyna od tego, że się musi przyjrzeć starym pracownikom, to się spodziewać raczej trudno, nie? Przyjrzyj się... A co on ma tutaj do przyglądania? Dwadzieścia cztery lata nikt się nie przyglądał, a ten nagle musi. (jeszcze bardziej rozdrażniony) Przyjrzyj się... Tutaj nic ciekawego nie ma. Jeden w drugiego człowiek jak człowiek. I każdy na swoim miejscu nie od wczoraj siedzi. (dłuższa pauza) No, nie szumowina? Sam przyznaj.

WŁADYSŁAW (na odczepnego) Szumowina.

RYSZARD Od razu tak samo powiedziałem. (dłuższa pauza) Ale póki co, sześć miesięcy nikogo ruszyć nie mogą. Tak żeśmy sobie to zapisali. (pauza, strapiony) Ale takie sześć miesięcy nie tak długo znowu, nie?

OJCIEC (wierci się w fotelu, wachając pociągając nosem, po chwili do Władysława) Czujesz? (Władysław nie reaguje, Ojciec głośnie) Władziu, czujesz?

WŁADYSŁAW (zaspany) Co?

OJCIEC (zawistnie) Jedzą. Znowu usmażyli sobie coś dobrego. Coś drogiego. Coś takiego, czego ja nigdy nie jem, a oni tak co dzień. (zrywa się z fotela, podbiega do okna, wychyla się i krzyczy histerycznie do sąsiadów na górze) Chamy! Chamy!

HELENA Niech ojciec odejdzie od okna.

OJCIEC (jeszcze głośnie) Chamy! Chamy!

HELENA (z naciskiem) Niech ojciec zamknie okno. I wraca na fotel.

OJCIEC (przestraszony, nieco ciszej) Chamy!

HELENA I więcej do okna już dzisiaj nie podchodzi.

OJCIEC (przypada do nóg Władysława, płacząco) Słyszysz? No, słyszysz?

WŁADYSŁAW (sennie) Co?

OJCIEC Nie pozwala mi chodzić po mieszkaniu. Przemieszczać z miejsca na miejsce mi się nie pozwala. W dowolnym kierunku... sobie nie mogę...

HELENA (znużona) Niech mama zabierze ojca.

MATKA (bierze Ojca łagodnie za rękę, prowadzi do fotela i usadza z głową opartą o radio) Chodź, posiedzisz... Posłuchasz sobie...

TERESA (podchodzi do stojącego lustra, z daleka zerka kilka razy w stronę okna, mówi rozgoryczona) Po ulicy już się z nią prowadzi. (moczy w misce kawałek ręcznika i ze złością wyciera twarz, mówi półgłosem, zjadle) Ledwie przyjechała i żeby od razu do niej Lili. No to: Lili. Lili... Lili, Lili... (pauza) A w dowodzie ma Henryka. Interesujące, nieprawda? (trąc twarz coraz energiczniej) Czy mama sły-

szafa, żebym ja się kiedyś nazywała Lili? Nigdy. *(dłuższa pauza)* Lili... Lili... I wszyscy mówili, jak chciała. *(z goryczą)* Niektórzy to nawet wiele razy. I to z bardzo bliska. *(przygląda się sobie po zmyciu maseczki, po czym odchodzi od lustra, zrezygnowana)* Co by nie robić – tak samo wredna. *(siada na niskim stołeczku obok kredensu, głowę opiera na kolanach)*

MATKA *(przysuwa sobie krzesło do Teresy, siada, szydełkuje)* A potem on mnie jeszcze przestrzegał: „Taki bezrobotny to bywa nieraz bardzo niebezpieczny. Pani nie uwierzy, jakiej agresji taki dostaje, choćby najspokojniejszy z początku. Dwa, trzy miesiące wystarczy poczekać i agresja absolutnie pewna. A rzecz jest prosta i logiczna. Im dłużej bezrobotny pracy szuka, tym bardziej jej pragnie, im bardziej pragnie, tym bardziej zdesperowany, a im bardziej zdesperowany, tym bardziej jej nie dostanie, bo nikt desperata do pracy przyjmował nie będzie. Czy to normalnych ludzi już nie ma? Prosta rzecz, a zrozumieć nie mogą. *(ścisza głos)* Jak hieny do gardła mi się wtedy rzucają. Wyobraża sobie pani? Kierownikowi Urzędu Pracy do gardła. Istne bestie”. *(dłuższą chwilę szydełkuje, po czym sielsko)* Na pewno będziesz z nim bardzo szczęśliwa. *(potrząsając robotą)* A to sobie w stolowym pod kryształ dacie. Ładnie będzie.

HELENA Jeszcze się mamie z tym ślubem nie odwiedziało, jeszcze nie znudziło. *(zdecydowanie)* Nic z tego nie było i nie będzie.

TERESA *(zatykając uszy rękoma)* Ja w ogóle nie słyszę, o czym wy rozmawiacie. Ja w ogóle nawet nie chcę wiedzieć, o czym.

HELENA *(przysuwa sobie stół i kosz z ziemniakami, zaczyna obierać)* Jak dalej tak pójdzie, o północy z gołymi pyskami się pokładziemy.

OJCIEC A jak o tej północy coś będzie, to co?

HELENA *(nie przerywając obierania, półgębkiem)* Same frykasy, dla ojca bekasy. Zadowolony?

OJCIEC I po co ten mój syn się z tobą żenił? Mało brakowało, a dobrą synową bym miał.

HELENA To się ojcu nie poszczęściło.

OJCIEC Właśnie. *(półgłosem)* Wszystko jak z łaski. *(ugodowo)* Hela, no to co będzie?

HELENA Zupa cud, w niej mięsa pud.

OJCIEC Zupa cud, w niej mięsa pud. *(pauza)* A ten pud to ile? Żebym wiedział, cieszyć się czy nie.

HELENA Pud to pud. Według uznania ojciec sobie zęby ostrzy.

OJCIEC Pud... bekasy... Naczytała się mądrości w tej bibliotece i teraz do niej ani przystąpi. Na żadne pytanie normalnie nie odpowie, tylko przedrzeźnia i przedrzeźnia.

HELENA Nie ma ojciec co robić, to by pomógł. Szybciej będzie.

OJCIEC Ja nie taki znowu niecierpliwy, poczekam. Obieraj sobie spokojnie, obieraj.

RYSZARD *(chodząc nerwowo za plecami Władysława)* A ty myślisz, że ja nie miałem żadnych ciekawych propozycji? Że ja kariery nie mogłem zrobić? Mnie dwa lata temu proponowali do Chojnic, do Zakładu Opakowań Szklanych. *(pauza)* I to kilka razy. I to nie tak jak tu. Oni mnie tam na kierownika działu gospodarczego chcieli. *(przeży się z dumą)* Wyobrażasz sobie – kierownik. *(po dłuższej chwili)* A nie jesteś ciekawy, dlaczego tego nie wziąłem? Nie chcesz wiedzieć? Dwadzieścia lat na jednym miejscu, to myślę, do emerytury tutaj już dociągnę. Przyzwyczaiłem się. *(pauza)* A mówię ci to, żebyś sobie nie myślał, że ja nie mogłem, że możliwości nie miałem. *(pauza)* Mogłem. I to bardzo wysoko.

OJCIEC *(wskazuje na górę, poirytowany)* Słyszycie? Słyszycie? Śmieją się. Najpierw się nażarli, a teraz się śmieją.

HELENA *(znużona)* To niech się ojciec też pośmieje.

OJCIEC Ja? Ja mam się śmiać? A z czego ja mam się niby śmiać. Czy ja jestem on? Jak mnie się w ogóle porównywać do takiego, co jest szczęśliwy i się śmieje. *(krzyczy patrząc w sufit)* Ścierwa! Ścierwa!

RYSZARD *(siada na walizce)* Dobrze, żeś w sobotę przyjechał. Jakby to inny dzień był, to mnie by nie było. I kto by się tobą zajął? *(uderza kilkakrotnie Władysława w kolano, tak że ten się budzi)* No, kto by się tobą zajął? Dobrze, że w sobotę.

AKT II

Przy stole siedzi Helena i skręca z elementów lalki. Na wersalce leży Ryszard przykryty kocem, tak że do momentu, kiedy się ruszy i odezwie, jest niewidoczny. Po kuchni chodzi Władysław, w jednej ręce trzyma długopis, w drugiej papier. Chodzi miarowo, co jakiś czas podbiega do stołu, już ma coś napisać, ale w ostatniej chwili rezygnuje i znów zaczyna chodzić. Powtarza się to dwu- lub trzykrotnie, aż w końcu siada przy stole nad papierem i zamyślony stuka długopisem. Dżdżysty, jesienny dzień.

HELENA *(cicho, do siebie)* A jakby tak kupić kawałek mięsa? Normalnie wejść do sklepu i zażyczyć sobie. Palcem wskazać i... Tylko co dalej?

WŁADYSŁAW *(głuchą)* Kasa. Dalej to już tylko kasa.

Z pokoju wchodzi Ojciec. Drobnymi kroczkami krąży po kuchni, za każdym razem przechodząc koło Władysława klepie go po plecach, co chwila ukradkiem zerka na lodówkę.

OJCIEC Leje, leje... Leje, leje... póki się nie wyleje. *(pauza, jękając się)* Jednej jesieni tylko susza i susza, drugiej z kolei nadzwyczajnie obfite opady.

HELENA *(nie podnosząc wzroku nad roboty)* Ojciec nie zagaduje. Znowu się ojciec skrada do lodówki.

OJCIEC *(urazony)* Skrada? Dlaczego od razu skrada? Zwyczajnie nogi prostuje. *(demonstracyjnie prostuje się i przeciąga)*

HELENA Od jutra niech się ojciec od strony łazienki prostuje.

OJCIEC Ciagle tylko podejrzuwa i podejrzuwa.

HELENA Z wieczora co bądź się w garnku zostawi, a rano już nie ma. Podejrzuwa...

OJCIEC *(butnie)* Teraz jest południe.

HELENA To do hejnału ojciec powinien się już szykować. *(Ojciec przez chwilę się jeszcze ociąga, po czym potulnie siada przy radiu; Helena z westchnieniem)* Tak, potem jest kasa. *(po chwili rozdrażniona do Władysława)* Kuzyn za trzy miesiące mi już jesteś dłużny. A trzy miliony – to są trzy miliony.

WŁADYSŁAW *(jakby jej nie słysząc, manipuluje przy długopisie)* Chyba się wypisał.

HELENA Wyrzucili kuzyna z fabryki – w porządku. Wyrzucili z mieszkania – w porządku. Ale z jakiej okazji trzeci miesiąc kuzyn siedzi na moich plecach, to tego ja już nie mogę zrozumieć. *(podnosząc głos)* Ty idź, szukaj czego!

WŁADYSŁAW Nie pisze. *(próbując kilkakrotnie)* No, nie pisze. *(najpierw grzebie po kieszeniach, następnie wolno wyjmując na stół całą ich zawartość, ogląda, porządkuje: osobno pieniądze, papiery, jakieś drobniaki – wśród nich harmonijkę ustną w etui; układając banknoty przelicza cicho)* Trzydzieści pięć, trzydzieści sześć, czterdzieści... czterdzieści jeden... tak, czterdzieści jeden. *(zauważa wzrok Heleny, szybko chowa pieniądze do kieszeni i bierze się za przeglądanie i segregowanie papierów; ogląda stary kupon loteryjny)* Niektórzy mówią, że na jeden los się nie wygrywa. Ale to nieprawda. Na jeden nieraz, i to bardzo, tylko trzeba farta mieć. Takie go jak mój teść chociażby. Taki co nie ma – gra, gra i nie wygra. A inny wygrywa, chociaż nie gra. Raz los kupi, bez ochoty, bez przekonania, bez

oczekiwań żadnych i wygrywa. *(zniechęcony chowa losy do kieszeni)* Na jeden – to trzeba byłoby mieć szczęście... Na więcej – pieniądze. *(bierze do ręki karty, przez chwilę tasuje)* Dawniej nieźle grałem. Ale jakoś mi nie szło. Nie to, co mój teść. Ledwie do stołu siadzie, od razu wszystkich oskubie. Ale to już musi być on, nie ja. *(z etui wyjmując harmonijkę ustną, od niechcenia wydobywa kilka dźwięków, po czym chowa do kieszeni)*

HELENA *(zniecierpliwiona)* Ty idź wreszcie, kuzyn, szukaj czego. Tu po czynsz znowu byli, wiesz? Powiedzieli, że jak do końca miesiąca nie zapłacimy, to wyrzucą. „Jak nie zapłacicie, to na Nowy Rok już tej powierzchni mieszkaniowej zajmować nie będziecie.”

WŁADYSŁAW *(sprawdzając kolejne długopisy)* Może ten... Nie.

HELENA Ja o tym, ty o tamtym. Ja o jednym, ty o drugim.

WŁADYSŁAW *(ucieszony)* O, ten pisze. *(chowa pozostałe długopisy do kieszeni, zabiera się do pisania, ale widać, że jakoś mu nie idzie)*

HELENA Czterdzieści jeden mu zostało. *(pauza)* To nieźle sobie kuzyn poszalałeś. Jakżeś przyjechał, to w walizce pod podszewką u ciebie dwa miliony były. Były? Były. A teraz te pieniądze w czyich są rękach? Bo w moich na pewno nie. A i kuzyn wygląda na takiego, co dawno z nimi już nie jest.

WŁADYSŁAW *(zamyślony)* Od początku taki był. Od samego. Jak jeszcze nawet teściem nie. Ledwie przychodzić zacząłem, od pierwszej chwili się przymawiał: „Panna młoda, jak kamień szlachetny, wymaga oprawy. A tak z pustymi rękami, nawet nie wypada”. I bez pytania torbę mi otwiera, grzebać zaczyna, czy tam czasami czego nie ma. „Tylko, że teść przyszedł ani panna młoda, ani kamień szlachetny – mówię – to co tu gadać o oprawie”. I torbę zabieram, co mi będzie grzebał. *(pauza)* Jakbym co postawił, od razu dałby spokój. A tak, nieraz cały wieczór stracony, bo jeden pokój – to ani samemu gdzie wyjść, ani jego wyrzucić. Więc siedzieliśmy we trójkę, a on co i rusz obrażał. O czym by nie zaczął, na jednym zawsze kończył: „Z pustymi rękami do panny młodej i jej ojca?” *(pauza)* Za każdym razem, co nie poszedłem. *(pauza)* Bo raz pójść i nie zanieść – można? Można. Dwa razy można? Można. Ale trzeci już człowiek nie pójdzie, bo swój honor ma. *(pauza)* Ze ma być wolność – tak, że sprawiedliwość – tak, ale o tym, że nie będzie stać na pół litra, to się jakoś nie mówiło. *(po dłuższej chwili)* Dwa lata po ślubie jeszcze długi płaciłem – tak mnie ta oprawa kamienia kosztowała.

HELENA Za cztery miesiące już z czynszem zalegamy. Jakby nie liczyć, ponad sześć milionów. *(patrząc wyczekująco na Władysława)* To te twoje trzy bardzo by się teraz przydały.

WŁADYSŁAW Najpierw, po ślubie, to jeszcze jako tako dało się z teściem wytrzymać, ale gdzieś rok temu zaczął używać odnośnie do mnie takiego słowa: dziad. Jak tylko mi nadgodziny zabrali i w ogóle cienie się zrobiło, on od razu: dziad. Imienia już nie, nigdy. „Córku, dziad już wrócił” – tak wołał ledwie do domu przyszedłem. Albo: „Irenka, dziad siedzi przy stole i wygląda, jakby czekał na coś.” *(pauza)* Póki pieniążki w kieszeni miałem, całkiem inny był, a tylko zabrakło – natychmiast obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni. *(pauza)* A przez pięć lat kto na wszystko dawał, kto utrzymywał?

HELENA *(rozdrażniona)* Ja o jednym, ty o drugim.
Zapada milczenie.

OJCIEC *(wskazuje na górę)* A tamci, to co?

HELENA Co tamci?

OJCIEC Komome zapłacili?

HELENA Zapłacili.

OJCIEC Jak kto ma, to płaci. *(z narastającą agresją)* Pewnie... Pewnie... Rzecz jasna. *(wstaje, chodząc nerwowo po kuchni, tonem mentorskim)* Bo ogólnie są dwa rodza-

je chama. Jest cham co ma, bo po prostu ma, i jest cham, co ma, bo się dorobił na tym, co nie ma. *(biegnie do okna, uchyla je i krzyczy w górę)* I pan jesteś bydlę tego drugiego rodzaju! *(Helena wskazuje Ojcu fotel, Ojciec patrzy na nią z przestrachem, krzyczy już znacznie ciszej)* Drugiego rodzaju! Rozumiesz? *(uspokojony wraca na fotel, zauważa, że zostawił otwarte okno, wstaje, idzie na palcach, oglądając się na Helenę, delikatnie zamyka je i wraca z powrotem)* Siedzę. Widzisz, córku, już siedzę.

Wchodzi Teresa. W rękę trzyma gazetę, podchodzi do lustra, zerka to w gazetę, to w lustro.

TERESA Młodą, wysoką, atrakcyjną blondynkę za bar... *(patrzy przez chwilę na swoje odbicie)* Ufarbować to może bym się i ufarbowała, ale wysoka... *(wychodzi do pokoju)*

WŁADYSŁAW *(zamyślony)* Jeden dzień w miesiącu, jak wypłatę wziąłem, to wtedy ważny w domu byłem. Od południa teść i Irenka w oknie stali. Patrzyli, patrzyli, wypatrywali, czy ja czasem gdzieś tam na Zabłocie nie pójde, czy nie zabaluję, czy przypadkiem nie w tango... *(pauza)* Ale ja jestem realista. Na drugi dzień i tak trzeba by z chmur na ziemię. I do żony... teścia... Nie ma rady, trzeba stąpać twardo. *(pauza)* To wracałem. I całą wypłatę z miejsca teściowi. Tyle że pięćset tysięcy dla siebie.

HELENA *(półgłosem)* Że czyjegoś męża matka jest czyjaś matki siostrą, to jeszcze nie jest powód, żeby ten ktoś komuś tyle siedział, i to darmo. *(po chwili zdecydowanie)* Nie, to nie jest absolutnie żaden powód. *(pauza)* Szybko nie zapłacimy, jak nic wyrzucą.

WŁADYSŁAW *(dalej tym samym tonem, co poprzednio)* Na początku próbowałem pożyczyć, ale tam u nas już nikt nie chce, a temu wciąż wszystkiego było mało i mało. *(pauza)* „Dlaczego dziad więcej nie zarabia? Nie tu, to gdzie indziej iść trzeba – mówi – kraj duży. Pójdzie, zarobi, wróci. Córka to córka, a dziad to dziad. Zresztą dla trzech osób miejsca nie ma. Dwie to jeszcze, ale trzy...” „Przecież przez pięć lat żeśmy tu razem we trójkę” – zaczynam do niego... „Jak nie ma miejsca – to nie ma.” I już mnie z dnia na dzień wypycha, klucze zabiera. „Zarobisz, wrócisz – z powrotem dostaniesz. Nie zgina.” *(po dłuższej chwili z żalem)* Taki teść.

RYSZARD *(ledwie wysuwając głowę spod koca, rozespany, z rozdrażnieniem)* Myślisz, że jak kto ma pracę, to jemu już lekko, tak? Myślisz, że mnie lekko? *(pauza)* Wcale nie jest różowo. Od kiedy on już niepaństwowo, człowiek po rozżarzonych węglach jakby chodzi, tak mu na ręce patrz, do czego się przyczepić. Spojrzy na ciebie taki i normalnie czujesz, że ci się w myśli wkręca – tak świdruje. Na każdym kroku tylko czyhają, aż się potkniesz, żeby cię, jak te pół roku minie, wywalić.

HELENA *(patrząc to na Władysława, to na Ryszarda)* Za tydzień znowu mają przyjść, żeby się ostatecznie rozmówić. *(ostrzegawczo)* Jak powiedzieli, że przyjdą, to przyjdą i trzeba by im wreszcie coś zapłacić. *(z bezsilną złością)* No, odezwił się który.

RYSZARD *(spod koca, zupełnie nie zwracając uwagi na słowa Heleny)* Żebyś wiedział, nie jest różowo, Władek, nie.

HELENA Albo oszaleję... Albo zwariuję... *(pauza)* Albo oszaleję... Albo zwariuję... Albo i jedno, i drugie. Od godziny mówię w koło to samo, a oni... *Wchodzi Teresa w wymiętym szlafroku, włosy nakręcone na wlatki, na to kolorowa siatka, przez ramię przerzucone kilka par pończoch. Robi kawę, nakrywa szklanek spodkiem, siada przy stole, odsuwa z irytacją lalki.*

TERESA I po co to dłubać? Przecież tego i tak nikt nie kupi.

HELENA Nie dłużej, czy ja cię proszę, żebyś dłużej? *(pauza)* Parę tygodni jeszcze i wszyscy już będziemy mogli jak dzień długi nic, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przed lustrem sobie postoiemy, z matką przez okno powyglądamy, z ojcem radia się posłucha. *(pauza)* Tylko nie wiem gdzie, bo że już nie tu – to pewne.

TERESA *(macha ręką)* Eee... *(do Władysława, z wyraźną chęcią na zwierzenia)* Na początku chciałam coś zrobić dla mieszkańców miasta. Myślałam otworzyć salon gry, coś w rodzaju „jednoręki bandyta”. *(z żalem)* Ale żeby cokolwiek otworzyć, to trzeba najpierw mieć ze sto milionów. Za mniej nikt, nigdy, nic nie otworzył. *(rozmarzona)* Ale jak ja bym miała takie sto, to po co mnie by było w ogóle coś otwierać?

WŁADYSŁAW Raz pisze... Raz nie pisze... *(wyjmuje z powrotem z kieszeni na stół długopisy)*

TERESA Kelnerstwo to jest poker. To w jednej postaci ruletka i hazard. Możesz całe życie być w nędzy, możesz i w tydzień zarobić fortunę. *(pauza)* Zasadniczo wszystko zależy od kategorii. Taki lokal od trzech gwiazdek wzwyż – to już zapewnia niekiedy personelowi całkowicie komfortowy tryb życia. *(pauza)* Rzecz jasna – obsłudze sali. Powiedzmy: barman, kelnerzy, kierownik... Bo już takie zaplecze... *(lekceważąco)* Zaplecze to w ogóle się nie liczy. *(podchodzi do lustra, zarzuca pończochy à la boa, z dumą)* W kelnerze wszystko powinno być doskonałe. I wygląd. I wiek. I rozum. I doświadczenie. *(po chwili patrzenia w lustro)* Zwłaszcza rozum i doświadczenie.

WŁADYSŁAW *(ucieszony)* O, ten... Ten dobry.

TERESA Trzy gwiazdki wzwyż i człowiek jest nie ten sam, co był. Momentalnie inna metamorfoza. *(dłuższa pauza)* A ta na dworcu, jakby jej nie było, taka jest. Sam szyld został. Nieraz cały dzień i dziesięciu klientów nie ma. Chciał nie chciał, trzeba się rozejrzeć za czymś z lepszą renomą. *(pauza)* Ani przyjezdnych, ani tutejszych. Ni imienin, ni wesela. Bo kto przyjdzie? Po co? *(pauza)* Albo kto się tutaj ożeni? *(nagle histerycznie, od serca)* Kto się tutaj ożeni? *(po dłuższej chwili z goryczą)* Ja, w każdym razie, o nikim takim nie słyszałam. *(do Władysława rozkazująco)* Odwróć się, pończochy mierzyć będę. *(Władysław odwraca się tyłem, Teresa naciąga jedną pończochę po drugiej, mówi z zawiścią, zjadł)* Kierownik Urzędu Pracy... Żeby człowiek na takim stanowisku nie umiał sobie czasu wolnego zorganizować na odpowiednim poziomie, tylko włóczył się z osobami bez stałych personaliów. *(pauza, z nostalgią)* Dawniej wyszedł z biura – zajrzał, posiedział, porozmawiał. To galaretkę zamówił, to eklerkę; lubił słodkie. *(zjadliwie)* A teraz? Ciekawe, co on teraz lubi? Już ta Lili pewnie wie, co. *(pauza)* Rano do Urzędu chodziła, po południu chodziła, w nocy pewnie też – taki ciąg do pracy miała straszny. Nie ma co, jak taka przyjdzie, tylko widać, gdzie oczy poniosą się wynosić. *(upija duży tyk kawy, popluwa fusami)* Co to za miasto, które taką zrodziło? *(wściekła zdejmując pończochę, przerzuca wszystkie przez ramię, wychodzi do pokoju)* Wszystkie podarte, jak jedna.

RYSZARD *(gramoli się z wersalki, chwilę chodzi po kuchni, przeciąga się, ziewa, popatruje przez okno, w końcu staje koło Władysława, który cały czas duma nad kartką)* Co robisz? Piszesz?

WŁADYSŁAW Piszę.

RYSZARD To ja ci przeszkadzać nie będę. Pisz sobie, pisz. *(krótka pauza)* A to, co piszesz, to coś ważnego, czy tylko tak?

WŁADYSŁAW Ważnego.

RYSZARD To tym bardziej. Jak kto coś ważnego pisze – to gęba na kłódkę, sięść i czekać, aż skończy. *(pauza)* Ty, a ty myślisz, że ja takich ważnych mało się napisałem? Same ważne. Jedna ważniejsza od drugiej. *(po chwili)* Jakie ja rachunki, jakie faktury w rękę miałem. Nie uwierzyłybyś. *(pauza)* No co? Nie piszesz? Skup

się i pisz. *(pauza)* Mało tego, ja o takich rzeczach wiedziałem, co prawie nikt nie wiedział. A dlaczego? Bo zaufanie do mnie mieli. *(z pewnym rozrzuwaniem)* Bardziej człowiekowi jak maszynie ufali. A ci – na odwrót zupełnie. *(zły)* Wiesz, co te padalce tydzień temu zrobiły? Komputery kupili. *(chwilę czeka na reakcję Władysława, ale ten nawet nie podnosi głowy znad kartki)* Kupili, przywieźli i od razu montują; jakby dnia dłużej już bez tego nie można. *(półgłosem)* Dwadzieścia pięć lat bez nich zakład stał, to i następne by powstał. I żeby to chociaż zamontowali, poszli – nie. Stają za mną z tyłu i nie wiedzieć, na co czekają. Marynarki obciągają, krawaty poprawiają. Stoją. Aż w końcu jeden mówi: „Wprowadź pan coś”.

WŁADYSŁAW *(nie rozumiejąc)* Jak?

RYSZARD „Wprowadź pan coś” – tak mówi. A ja nic, siedzę, co będę z głupim gadał. A ten znowu: „No wprowadź, wypróbuj pan sprzęt przynajmniej”. *(półgłosem do siebie)* Wprowadź... wprowadź... Sam se głupku wprowadź, jak umiesz. W magazynie na takie dumoty czasu nie było. *(szydł)* Sprzęt wypróbuj... Zobacz, jaka maszyna... *(pauza)* Akurat mnie ona strasznie potrzebna. Ja, co gdzie jest i czy jeszcze w ogóle, i bez niej dobrze wiem. I czy na lewo, czy na fakturę, księgowane czy nie – bez patrzenia, w ciemno powiem. *(z dumą, poufnie)* Ja ci mogę nawet takie rzeczy, co ona do końca swojego życia nie zrozumie, co się z tym i jak porobiło, taka misterna robota. Najważniejsze, żeby na stanie w końcu się zgodziło. Do wszystkiego trzeba mieć podejście, a maszyna – to maszyna. *(pauza, z zawiścią)* Ale przyjdzie jedna kontrola... druga... Szybko się na rozumie otrzeźwią. *(po dłuższej chwili, znacząco, z satysfakcją)* Póki co, to coś się w niej zepsuło. Nie działa. I prędko oni tego nie naprawią. *(klepie Władysława po plecach)* No pisz... pisz... *(idzie w stronę wersalki)* A buty to takie noszą... takie o... *(pokazuje)* W szpic nos całkiem... Takie... *(siada na wersalce, bierze jakąś gazetę, przerzuca strony, wyraźnie myśli o czymś innym)*

OJCIEC *(podchodzi do Heleny, głaszcze ją po ręce)* Nie jesteś już zła?

HELENA Nie.

OJCIEC Na pewno?

HELENA Na pewno.

OJCIEC Bo ja bym herbatnika zjadł.

HELENA Nie ma.

OJCIEC Są.

HELENA Nie ma.

OJCIEC Ja wiem, że są. W kredensie.

HELENA Ojciec znowu szpera.

OJCIEC *(wylękniony)* Nie szperam. Przez przypadek widziałem. Drzwiczki się otworzyły.

HELENA Drzwiczki się otworzyły... Akurat.

OJCIEC Naprawdę. *(prosząco)* To mogę?

HELENA Ale jednego.

OJCIEC *(bierze z kredensu paczkę, wyciąga jednego herbatnika, nie zjada, tylko zawija w papier i chowa do kieszeni; niepewny, czy Helena to widziała, stoi nadal z paczką w ręce, po czym cicho, niezdeterminowanie)* W ogóle już tylko cztery zostały. Jeszcze się gdzie zawieruszą albo wyschną.

HELENA *(zła)* Ojciec nie będzie ruszał, to nie wyschną. Nie woda.

OJCIEC To jak? *(wyciąga w jej stronę paczkę, Helena nie odpowiada, Ojciec zadowolony wraca na fotel z paczką, część herbatników zawija w papier i wsuwa pod poduszkę, część zjada; po dłuższej chwili nieśmiało)* A tam za mąką to co w słoiku stoi?

HELENA Nic nie stoi.

OJCIEC Stoi. Dobrze widziałem. *(pauza)* Konfitury?

HELENA *(niechętnie)* Konfitury.

OJCIEC Na teraz czy na potem? *(Helena milczy, Ojciec z westchnieniem)* Na potem.

HELENA *(poirytowana)* Herbatniki... Konfitury... Co jeszcze? *(pauza)* Nie, w ten sposób to my do niczego nie dojdziemy. A komorne zapłacić trzeba. Za cztery miesiące już zalegamy. Nie wie ojciec niby.

OJCIEC *(przedrzeźniając Helenę)* Do niczego nie dojdziemy... Do niczego nie dojdziemy... *(do Władysława)* A ja mam emeryturę, wiesz? Ja bym sobie sam mógł kupić, co tylko, bez tego całego wymawiania. Ale ona mi wszystko zabiera. Ledwie przyniosą, od razu. I już ani do kina, ani do teatru, nic. Siedź w domu, w ścianę patrz.

HELENA Teatru tu nie ma, a do kina i tak ojciec nigdy nie chodził, jak go dwadzieścia lat znam, bo nie lubi.

OJCIEC Może jakbym zaczął, to bym polubił. *(ścisząc głos)* Dobrze, że radia mi jeszcze pozwala słuchać. *(pauza)* Ale jak zła, straszy, że sprzeda. *(zaniepokojony)* Myślisz, że mogłaby?

RYSZARD *(odkłada gazetę, podchodzi do Władysława, patrzy mu przez ramię)* A z tego, co ty tam tak piszesz, to pieniądze jakieś będą?

WŁADYSŁAW *(zamyślony)* Albo będą, albo i nie. *(pauza)* Ale lepiej żeby były, bo inaczej teść do domu nie wpuści. Słowny jest.

RYSZARD Zupełnie jak u nas w zakładzie. Albo zapłacą, albo i nie. I komu? *(pauza, ze smutkiem)* Jak dobrze pójdzie i połowy ze starych nie zostawia. I ćwierci nawet – taką ci wymianę robia.

HELENA Nie mąć mu. Niech o tę swoją pracę pisze. To ty mu daj teraz spokój z tymi twoimi... Idź, czytaj.

(Uchylają się odrobinę drzwi wejściowe i natychmiast zamykają, znów uchylają nieco więcej i zamykają, za trzecim razem pojawia się w szparze głowa Matki, po chwili już śmieje. Cały czas przygląda się temu Helena, nie przerywając skręcania lalek.)

MATKA *(jeszcze zza drzwi)* Nie ma ich?

HELENA Nie ma.

MATKA Co coś skrzywnie albo jakiś głos, już mi się wydaje, że po pieniądze znowu przyszli. *(wsuwa się do kuchni)* Nachodzą i nachodzą. Nigdy nie wiadomo, są czy ich nie ma. Niedługo już co dzień. *(siada, bierze serwetę, z zapamiętaniem szydełkuje, po dłuższej chwili do Heleny pokazując robotę)* Ładne?

HELENA *(na odczepnego)* Ładne.

MATKA Naprawdę?

HELENA Naprawdę.

MATKA *(zadowolona)* Bo to dla nich, to nie chciałabym, żeby oni brzydkie mieli.

HELENA *(udaje, że nie rozumie)* Oni? Jacy oni?

MATKA *(z przekonaniem)* No Terenia i on.

HELENA On?

MATKA *(wskazuje na okno)* No on.

HELENA Tylko że on to się żenić nie chce.

MATKA *(z niedowierzaniem)* Jak to – nie? Zupełnie?

HELENA Zupełnie. W każdym razie z nią.

MATKA *(z żalem)* Szkoda. Taki piękny byłby z niego zięć. Bardzo odpowiedni. Kierownik Urzędu Pracy, jakby nie patrzeć, zawsze ktoś. I dziś. I jutro. *(zaczyna cicho pochlipywać)* Taki wspaniały mężczyzna. Biedna Terenia. *(dłuższą chwilę popłakuje, stopniowo uspokaja się, zaczyna znów szydełkować, cicho nuci, aż w końcu z uśmiechem jak gdyby nigdy nic, potrząsając robótką)* Wam zrobiłam pod kryształ to i im zrobię. Gorzej nie będą mieli.

OJCIEC *(wstaje z fotela, bierze łaskę, skrada się do stołu, staje za Heleną i końcem łaski, ruchem bilardowym popycha jedną lalkę, tak że ta spada na podłogę; udając zdziwienie, do Heleny)* O... spadła. *(Helena podnosi lalkę, Ojciec ponownie wykonuje ten sam ruch)* O, znowu spadła.

HELENA *(cierpliwie podnosi)* Ojciec dobrze pilnuje, żeby trzeci raz już nie spadła.

OJCIEC Ja? A co ja mam do tego? *(za plecami Heleny wyczynia różne wygłupy z łaską – tak jakby to był kij bilardowy, potem hokejowy, w końcu jak szpadą pcha jedną lalkę w ten sposób, że ta zsuwa się ze stołu, ale Ojciec w ostatnim momencie tapie ją drugą ręką; bacznie obserwuje reakcję Heleny – jak psotne dziecko, gdy świadomie robi na złość; powtarza to kilkakrotnie)* Miało nie spadać i nie spada.

HELENA Nie mam już siły. Niech mama go weźmie.

OJCIEC *(broniąc się)* Ale dlaczego? Przecież nie spadła. Jak chciałaś, tak jest.

MATKA *(za rękę odprowadza Ojca na fotel, ten idąc wyczynia jeszcze z łaską różne sztuczki)* Chodź, chodź, nie przeszkadzaj jej.

HELENA *(półgłosem)* W cyrku powinien ojciec występy dawać. Jeszcze by mu za to płacili.

MATKA *(siada do szydełkowania, po dłuższym milczeniu z naiwną bez troską)* Martwimy się... Przejmujemy... a może ni z tego, ni z owego darują nam dług.

HELENA Na pewno... *(mocuje się z lalką)* Sto razy wejdzie, za sto pierwszym nie włązi.

MATKA *(nagle z płaczem)* Tyle bogactwa na świecie, tyle wszystkiego, a ty siedź biedaku jak ten pies i kości liź. Nic ci nie pomoże. *(pauza)* Co za świat.

HELENA Świat... Świat... Świat... *(z naciskiem)* Ma i nie ma – to są dwa światy. Dwa, rozumie mama. *(z ulgą)* Wlazło wreszcie.

TERESA *(wchodzi z pokoju, staje przed lustrem)* Atrakcyjną, wysoką blondynkę za bar... Blond to blond, ale z tym „wysoka” co zrobić?

RYSZARD *(zaglądając Władysławowi przez ramię)* Jeszcze piszesz?

WŁADYSŁAW No.

RYSZARD Długo coś.

WŁADYSŁAW No.

RYSZARD Jakbyś po chińsku tyle ty to już... *(pauza)* A ty wiesz, co oni sobie jeszcze zażyczyli? Po angielsku weź im mów. Taki warunek do zatrudnienia mają.

WŁADYSŁAW I co? Mówią?

RYSZARD *(wymijająco)* Niektórzy mówią. *(pauza, rozdrażniony)* Życzyć to sobie mogą. Wolny kraj – to każdemu wolno mieć życzenia całkiem dowolne. *(dłuższa pauza)* Tylko patrzeć, jak po zakładzie na rękach każą chodzić, bo tego też wcześniej nie było. Podnoszą poprzeczkę i podnoszą. Ciekawy jestem, kto im to przeskoczy. Z tych starych to chyba mało który. *(patrząc na Władysława)* Czemu nie piszesz? Bierz się i pisz.

HELENA Jeden głądzi i łązi, wczorajszego dnia szuka, a drugi słucha jak czego ważnego. *(do Władysława)* O pracę pisz! I to tak, żebyś dostał. *(pauza, do Ryszarda)* A ty idź stąd.

RYSZARD *(chodząc po pokoju, mruczy pod nosem)* Skupić się nie może. Pod kłosz go, tam będzie miał spokój... Jak piszesz to pisz, na nic uwagi nie zwracaj. *(pauza)* To ja już się nie odzywam. Ani mru, mru.

HELENA A ten też... Drugi tydzień pisze i ani litery jeszcze nie postawił. *(do Ryszarda)* Odejdź.

RYSZARD *(ni do siebie, ni do Heleny)* Idę... Idę... Idę... *(oddala się w stronę pokoju, po czym jeszcze cofa się i do Władysława)* A tych butów w szpic to ja coś Władziu nie lubię, wiesz? *(odchodząc)* Jakoś nie.

AKT III

Ojciec siedzi przy stole, na plecy ma narzucony koc. Matka dobija się do zamkniętych drzwi pokoju. Helena stoi nieruchomo oparta plecami o piec.

Jesienny wieczór.

MATKA Zamknęła i nie chce otworzyć. (puka) No otwórz!

OJCIEC Niech siedzi. (szczelniej otula się kocem)

MATKA Terenia! Terenia!

OJCIEC (trzęsąc się z zimna) Ale zimno... Ale ziąb... (pauza) Dawniej w listopadzie aż tak nie było.

MATKA Bośmy palili. (dobija się do drzwi) No, Terenia! No! (do Ojca) Ani się odezwie.

OJCIEC Nie, ja nie pamiętam, żeby kiedyś aż tak.

MATKA (przez chwilę milcząc, drepce pod drzwiami bardzo zdenerwowana, potem podchodzi do Heleny, mówi z lekceważeniem) Eksmisją grożą... No i co z tego, że grożą? A co mają robić? Za to im płacą, żeby grozili. (podchodzi znów pod drzwi, nasłuchuje, zagląda przez dziurkę od klucza, wraca do Heleny) Na Nowy Rok termin dali... No i co z tego, że dali? Termin na to jest, żeby przesuwac. Zresztą do Nowego Roku tyle czasu jeszcze... Tyle dni...

Wejściowymi drzwiami wchodzi Ryszard. Jest w wytartej jesionce, kapeluszu, w rękę wypchana teczka. Siada na krześle przy stole, teczkę stawia na kolanach i przyciska kurczowo do siebie.

MATKA (wraca pod drzwi pokoju, puka, po czym bezradnie do Ojca i Ryszarda) Rano poszła do tej nowej restauracji, potem wróciła, słowem się nie odezwiała, zamknęła i już. (pauza) Piąta godzina będzie, jak tak siedzi.

RYSZARD (patrząc tępo w stół, półgłosem) Póki pieniędzy nie było – to wtedy wszyscy byli dobrzy, a jak mają być – to już tylko niektórzy. (pauza) Tylko którzy ci wybrani – nie wiadomo. Nic nie wiadomo. (pauza) Ale dwa tygodnie i będzie. Wszystko już będzie. (z wyraźną obawą) Kto zostaje... Kto nie. (pauza) A dwa tygodnie nie wieczność. (lekko podnosząc głos) No przecież nie wieczność – dwa tygodnie.

MATKA (zagaduje przez drzwi) Terenia, posłuchaj! Bardzo zabawna historia. Pewne małżeństwo po czterdziestu latach. I ona prosi go o pieniądze na światło, bo światło mieli nie zapłacone i im wyłączyli, słyszysz? I ona wtedy mówi do niego: „No rób coś, głowa rodziny przecież jesteś, to weź zrób”. A on jej tak od razu nic nie odpowiedział, tylko dopiero wieczorem wchodzili po ciemku do kuchni, staje w drzwiach ze świeczką i mówi: „Ja nie jestem prądnica wiatrowa, światła ci nie dam”. I wyszedł. Cztery dni go nie było, zanim wrócił. Zabawne, co? (zaczyna szarpać za klamkę) No otwórz! (gorączkowo) To opowiem ci co innego. Słuchaj uważnie: stoję kiedyś w oknie, a tu idzie właściciel piekarni, podchodzi do mnie i mówi: „Wie pani, chciałbym być bogaty”. „Dlaczego bogaty – pytam – odkąd pamiętam nie był pan, ot starczało, a tu nagle bogaty?” „Całe życie nie byłem, a teraz naszło mnie.”

Wejściowymi drzwiami z rozmachem, tanecznym krokiem wchodzi Władysław i zatrzymuje się w progu, jest lekko podпиты, uśmiechnięty. Niesie dwie butelki taniego wina i słodycze. Zatrzymuje się, przytupuje, wyraźnie chce zwrócić uwagę na swoje buty; przytupywanie to może być w stylu kazaczka bądź stepowania, w żadnym razie nic ze współczesnych rytmów młodzieżowych.

MATKA I co... Sprzedał piekarnię, wziął pieniądze i w dwa miesiące przepił. Dobrze Terenia, co? No, powiedz.

WŁADYSŁAW Ze przepił, rozumiem, ale sprzedał niepotrzebnie. (przez chwilę jeszcze głośniejszym przytupuje i podśpiewuje, aż wszyscy poza Heleną oglądają się na

niego; mówi dumny) Jak oni mi odpowiedzieli, żeby do tej roboty przyjechać – to ja jadę. A jak ja jadę, to i wyglądać muszę. (przytupuje jeszcze głośniejszym)

RYSZARD (długo przypatruje się butom Władysława, w końcu mówi wolno, kategorycznie) Nie takie.

WŁADYSŁAW Co nie takie?

RYSZARD Buty.

WŁADYSŁAW (jeszcze przytupując, ale znacznie wolniej, nieco skonsternowany) Jak to nie?

RYSZARD (jeszcze przez chwilę się przypatruje) No nie.

WŁADYSŁAW Nie? A przecież mówiłeś – nosy w szpic.

RYSZARD Nosy w szpic. Ale reszta, reszta. (przygląda się) Żeby wiązane i niższe, i ten obcas. (po chwili) Nie, nie takie.

WŁADYSŁAW (podłamany, nie mogąc oderwać wzroku od butów) Nie takie... (podchodzi do kredensu, wyjmując kieliszki, rozstawia na stole, rozlewa wino, wypijają; nieco spokojniejszy) Ale nosy w szpic, co?

RYSZARD Nosy tak.

HELENA (nadal stojąc nieruchomo przy piecu, tonem beznamiętnym, referującym) Najpierw było trzy czwarte... Przyszli i powiedzieli: „Trzy czwarte”. Tylko co to znaczy? Na trzy czwarte czasu biblioteka ma pracować, czy co? „Nie, za trzy czwarte pieniądze”.

RYSZARD (półgłosem, do siebie, niepewnie) Ale mnie chyba nie ruszą. (pauza) Jakby mnie ruszyli, to tak jakby cały zakład w posadach. (pauza, pocieszająco) Nie, nie ruszą mnie. (przyciąga do siebie małe, stojące lusterko, kilkakrotnie zerka na swoje zęby; do Władysława) Wyszczierz się. (Władysław opęda się, Ryszard nie rezygnuje) Ty, Władziu, wyszczierz się!

WŁADYSŁAW Po co?

RYSZARD No wyszczierz. (Władysław szczery zęby, Ryszard przygląda mu się, po czym znów zerkając na swoje, mówi ze smutkiem) To samo. (po chwili z zawiścią) A żebyś ty ich zobaczył. Wszystkie mają, żadnego im nie brakuje. Każdy w gębę na swoim miejscu.

OJCIEC (lekko podchmielony) A moje? Moich nikt zobaczyć nie chce? (szczery się na wszystkie strony ze śmiechem)

RYSZARD (zatopiony we własnych myślach) Jak wilki – takie mają. (wzdrygając się) Normalnie wilki.

MATKA (pod drzwiami, do Teresy) Władziu od grudnia do pracy idzie – to przyniósł. Chodź. Taki poczęstunek, no! (do Władysława bezradnie) Poszła. Wróciła. Zamknęła się. I już. (pauza) Pół dnia ani słowem. (prosząco) Może jak ty zapukasz...

MATKA (do Władysława) Nigdzie nie chodź. Tyle spokoju, co jej nie ma. (spoglądając na Helenę, półgłosem) Ta jeszcze by się gdzie do kompletu zamknąć mogła.

HELENA (nadal beznamiętnym tonem) A w lutym była już tylko jedna druga. (pauza) Tak, jedna druga. Ale komorne się jeszcze płaciło.

MATKA (ciągnąc Władysława za rękę pod drzwi) Powiedz co do niej. Poopowiadaj.

WŁADYSŁAW (zdezorientowany) Ale co?

MATKA Coś wesołego, komedii jaką. (popycha go) No, opowiadaj!

WŁADYSŁAW (po dłuższej chwili) Od sześciu miesięcy pozostaję bez środków do życia...

MATKA (strofując) Weselej, weselej.

WŁADYSŁAW (równie ponuro jak poprzednio) I ani teść, ani nikt inny pożyczać już nie chce. Więc co robię? Dzwonię do lombardu. „Czy to lombard przy Nowym Rynku?” – pytam. „Owszem, przy Nowym Rynku?” – odpowiadają.

„A więc instytucja udzielająca pożyczek pod zastaw ruchomości i nieruchomości?” „Owszem, pod zastaw ruchomości i nieruchomości” – odpowiadają. „A pod zastaw odzieży męskiej w dobrym stanie udzieliacie?” – pytam. „A pod zastaw odzieży nawet i w doskonałym nie udzielamy”.

MATKA (*cicho do Władysława*) I co?

WŁADYSŁAW Nic. Koniec.

MATKA (*siląc się na humor*) Słyszałaś, Terenia, jaka śmieszna historia? Boki można zrywać. (*szarpie Władysława za rękaw*) Coś innego jeszcze dawaj.

WŁADYSŁAW (*półgłosem*) Ja nie znam już żadnych takich.

MATKA Opowiadaj, opowiadaj!

WŁADYSŁAW Kiedy nic nie pamiętam.

MATKA To wymyśl.

WŁADYSŁAW Nie potrafię.

MATKA To coś ogólnie.

WŁADYSŁAW (*usiłuje odejść od drzwi*) Co ogólnie?

MATKA (*przytrzymując go*) Coś... żeby było wesoło, żywo.

HELENA (*jak w malignie*) W kwietniu otrzymaliśmy ostatnie pobory, a w maju biblioteka uległa likwidacji.

WŁADYSŁAW (*zdezorientowany*) Ogólnie... Ogólnie... (*po dłuższym namyśle*) Ogólnie to jest tak: jeden coś wie, drugi nie wie, jeden rozumie, drugi nie rozumie.

MATKA (*popędzając*) Dalej, dalej.

WŁADYSŁAW No to ten, który rozumie, tłumaczy temu, który nie rozumie. (*pauza*) Ale często na odwrót jest. (*cały czas próbuje wyswobodzić się z rąk Matki*) Ten, który nie rozumie, tłumaczy temu, co rozumie. I pomieszanie takie robi się w głowach... takie pomieszanie...

MATKA (*łapie odchodzącego Władysława za ubranie*) To już?

WŁADYSŁAW Już. (*groźnie*) I więcej nic nie powiem. (*odchodzi, siada przy stole, nalewa wino sobie, Ojcu, Ryszardowi, wypijają*)

MATKA (*znów siląc się na humor*) Słyszałaś, Terenia? Ten, który nie rozumie, tłumaczy temu, co rozumie, i pomieszanie takie im się robi aż... aż... (*przez chwilę szuka słowa, po czym uradowana*) Aż chce się żyć. (*głośniej*) Życ się chce. (*łomocze w drzwi*) Otwórz wreszcie!

OJCIEC (*lekko podpity, półgłosem do Władysława*) Jedna głupia za drzwiami, druga przed. Po jednej z każdej strony. (*oglądając się na Helenę*) A trzecia tam stoi.

RYSZARD (*dalej wpatrzony tępo w stół*) Kogo jak kogo, ale gdyby mnie ruszyli – to tak jakby sami sobie korzenie, na których siedzą, popodcinali. (*pauza*) A przecież sami sobie korzeni podcinać nie będą. Nie?

HELENA (*cedząc coraz wolniej*) W kwietniu otrzymałam ostatnie pobory z byłego zakładu pracy i od tego czasu żadnych pieniędzy już nie otrzymuję. (*pauza*) Ani z tytułu umowy o pracę, ani za chałupnicze. Absolutnie żadnych.

MATKA (*poirytowana*) Rzadko się zdarza, żeby się kto do swoich ostatnich poborów tak przywiązał.

OJCIEC (*z uciechą wali Władysława w plecy*) Do poborów to częściej, do pracy rzadziej. (*przez chwilę patrzy na Helenę, jakby sobie coś przypominał, po czym do Matki*) A po co ona tam stoi jak piec zimny?

MATKA Zawsze zimną stała, to i teraz stoi. Z przyzwyczajenia.

HELENA (*dalej tym samym, co poprzednio tonem*) Ostatnie pobory były w kwietniu i wtedy też po raz ostatni uiściliśmy za mieszkanie. (*pauza*) Od tamtej pory już ani w pełnej wysokości, ani w formie zaliczki. (*pauza*) W ogóle nie.

MATKA Formalnie kobieta niewralgii jakiejś z tymi poborami dostała.

WŁADYSŁAW (*bierze pełen kieliszek wina, tanecznym krokiem podchodzi do Heleny, podaje jej, ale ona nie reaguje*) Nie martw się. No, nie martw się. Jak

mówię nie – to nie. (*pauza*) I to się zapłaci. I to... Teraz już wszystko się zapłaci. (*dumnie*) Wszystko spłaci, popłaci i jeszcze zostanie. Jak ja już tę pracę tam będę miał, o was nie zapomnę. (*pauza*) To tak już nie stój, nie ma czego. (*znów wyciąga w stronę Heleny kieliszek, ta nie reaguje nadal*) Nie? (*pauza*) Nie. (*odchodzi, podglądając, siada przy stole, sam wypija*)

RYSZARD (*otwiera teczkę i powoli wyklada na stół kilkanaście różnych szczotek, segreguje je*) Do butów... Do ubrania... Do zębów... Do paznokci... (*kilka szczotek przesuwając w kierunku Władysława*) Bierz, bierz, u mnie cała szafa tego. (*resztę zbiera, idzie z nimi w stronę wnęki ściennej, odciąga zastonę i dokłada je do już tam leżących; wraca, siada przy stole i najpierw zaczyna się bawić leżącymi szczotkami, a potem jakby mimochodem zabiera się do czyszczenia rękawa kurtki Władysława*)

MATKA (*prysuwając do zamkniętych drzwi krzesło, siada, szydelkując mówi półgłosem do Teresy*) Idę rano przez Rynek, a tu podchodzi do mnie jedna taka i mówi: „Wraca pani z tego sklepu, co to dają na kredyt?” A ja jej: „Czemu to miałabym wracać z tego, co na kredyt? Czy to normalnych nie ma?” A ona: „Bo jak kto pieniędzy całkowicie nie posiada, to bierze na kredyt. Zawsze tak było i będzie”. (*rozsierdzona*) Całkowicie nie posiada... (*pauza*) Kupować to może faktycznie ostatnio się u nas nie kupowało, ale żeby od razu na kredyt... Do takiego dziadostwa to jeszcześmy szczęśliwie nie doszli. (*pauza*) I raczej ma się ku lepszemu, nie, Władziu? (*pauza*) Na kredyt brać... (*z zachnięciem*) Przyzwoity człowiek takich rzeczy nigdy nie robi. Żeby nie wiem co. (*pauza*) No i po co ona mi to powiedziała? W jakim celu? (*pauza*) Chyba tylko, żeby uprzykrzyć. (*po dłuższej chwili*) A kioskarsz to przestał mi się ostatnio kłaniać. Wiesz? Ja mu się kłaniam, a on mi nie. Może myśli, że teraz kupujemy gazety u kogo innego. (*pauza*) Tyle że dozorca też już rzadko kiedy. Udaję, że nie widzi. A przecież nie myśli, żeśmy się do innego domu przeprowadzili.

OJCIEC (*roześlony wskazuje w górę*) Nam nie, ale przed tymi z góry, godzinę wcześniej, zanim zejda, plackiem prawie na ziemi leży – tak się kłania. Dobrze, że jeszcze nie spluwa za nami jak za parszywymi. (*z nienawiścią i pogardą*) Kundel! Stugus!

HELENA (*nadal całkowicie wyłączona z tego, co dzieje się wokół niej*) A tylko wynagrodzenie otrzymywać przestałam, zaraz zaczęłam wezwania do zapłaty. (*pauza*) Najpierw wezwania, potem ponaglenia. Miesiąc różnicy może być.

RYSZARD (*czyści ubranie Władysława z coraz większym zapalem*) Mówią: daj obdartemu nowy garnitur, a do obiadu otworzą mu kredyt w każdym banku. (*zadowolony przygląda się szczotce*) Nawet nieźle zbiera. Dobry wyrób. (*dalej czyści*) Było nie było dwadzieścia cztery lata ciągle szczotki i szczotki. Bo pędzle to robiliśmy krótko. Parę miesięcy. Może konkurencja za duża... może co... (*z pewnym rozrzuwaniem*) A jak ci tych pędzli kiedyś całą walizkę nawiozłem, pamiętasz?

WŁADYSŁAW (*usiłując uwolnić się*) Nie pamiętam.

RYSZARD (*rozczarowany*) Popatrz, ja znowu, jakby tydzień nie minął, tak dokładnie. (*patrząc z dumą na szczotkę*) I sto lat możesz czyścić, ona cały czas jak nowa.

WŁADYSŁAW (*do siebie, rozmarzony*) Nieograniczone możliwości zarobków obiecują... No to ja teraz ważny w domu będę przez trzydzieści dni w miesiącu, jak do tej pory ten jeden – co wypłatę brałem. (*pauza*) Wezmę całą gotówkę i jadę. Szybciutko, pośpiesznie. Na detalach już oszczędzać nie muszę. (*pauza*) Jadę... Dojeżdżam... Ale od stacji to już wolno... wolniutko... Nie ma co śpieszyć. Teraz już poczekają. Stać mnie na to, żeby noga za nogą. (*uśmiecha się*) A oni tam w oknie już mało co się nie poskręcają. Bo nie wiedzą, którym ja przyjadę. Myślą, że tym osobowym, o dziesiątej. A tu południe, to co się ze mną zrobiło? Przyjechał, a nie ma go. (*pauza*) A ja im niespodziankę, ja sobie spokojnie o trzynastej.

I wysiadam czyściutki, świeży, bo i miejscóweczka była, i do „Warsa” poszedłem. Wszystko kulturalnie, jak trzeba. *(pauza)* A ci stoją... czekają, boją się, że ja jednak prostą drogą do domu nie wrócę. Ze pójde na Zabłocie. *(z satysfakcją)* I mają rację, bo ja za róg skręcam, dokładnie na Zabłocie. *(delektując się)* I sobie za tym rogiem stoję. Niech się teść podenerwuje, należy mu się. *(pauza)* A ten, rzecz jasna, nadzieję już stracił: „Cały zarobek wziął i na stronie przepuścił” – prawie do Irenki płacze. A ja sobie wtedy po godzinie spokojnie zza tego rogu wychodzę, mało, jeszcze kwiatki niosę, po drodze kupilem. A Irenka z daleka już mnie widzi, już wie, że dobrze jest, na próg wybiega, na szyi mi się wiesza. A ja co? Wstrzemięźliwy w tych czułościach jestem. Siadam, gotówkę na kolana wydaję. Wydaję... Wydaję... W końcu nieograniczone zarobki – to nieograniczone. Trochę chyba tego będzie. Aż się teść powstrzymać nie może. Podotykać chociaż by chciał, przeliczyć. Dawno tyle nie widział. Nie spodziewał się nawet. *(dłuższa pauza)* A potem to już nic, tylko byśmy sobie w łóżku z Irenką leżeli. Telewizor by szedł, a my sobie leżymy... *(rozmarzony)* A rano teść od świtu pod drzwiami krąży i co i raz do pokoju zagląda, sprawdza, czy my jeszcze śpimy. „Może by wam, kochane dzieci, jajecznicę, może bułeczek z masłem?” I stoi, czeka – co ja na to. Bo mu wstyd. Bo dobrze pamięta, że nieraz szklanki herbaty żałował. *(pauza)* A potem przyjęcie się robi. Nie takie tam... *(pokazuje na stół)* Prawdziwe. Salę wynajmiesz. Wielką. Jak obora. I ludzi zaprosi. Bez wyjątku. I tych wszystkich, co mi wróżyli, że jak pies zginę marnie, też. *(z determinacją)* Zwłaszcza tych. *(pauza)* Za stołem się ich usadzi i niech zamawiają, co chcą. I ile. Nie będę żałował. *(pauza)* Ale ja z nimi nie siadę. O, nie... Chodził tylko będę i patrzył, czy wszystko jest jak należy. O każdego zadbam, każdemu postawię, do nikogo urazy nie chowam. *(wstaje i chodzi wokół stołu, nachylając się kolejno do nad Ojcem, to nad Ryszardem, jakby nad zaproszonymi gośćmi)* Czy szanowny pan schabu już kosztował? Kosztował. A golonki? Nie? Naprawdę nie? Kelner! Tu golonki nie było! *(podnosi głos)* Kelner! Kelner!

MATKA Uciszzę się. Nie drzyj tak. Z córką porozmawiać nie mogę.

HELENA Najpierw tylko wzywali do płacenia, ponagli, a potem to się już zaczęło mówić o eksmisji.

MATKA *(do Teresy, nieco zrezygnowana)* A ten dowcip o gęsi znasz? Pytają gęś: kto jest złotonośną kurą narodu? Ona odpowiada: inteligencja. To drugie pytanie jej dają: co jest środkiem, bez którego żadnego celu osiągnąć nie można? Ona: pieniądze. A jaka jest najdziwniejsza rzecz, z jaką się w życiu spotkałaś? Gęś na to: że ta kura nie ma tego środka. *(nasłuchuje przez chwilę)* Nie śmiejesz się? Nie? *(pauza)* A wiesz, od kogo ja to... zgadnij! Jak nie zgadniesz, to ci nie powiem. *(znów chwilę nasłuchuje)* No co, nie domyślasz się? Zupełnie? *(znacząco, trochę jak do dziecka)* Od takiego jednego... który tu codziennie... Teraz to już nie możesz nie wiedzieć. No! *(pauza, chwilę nasłuchuje)* Nie, jeszcze nie? Który tu codziennie jak wraca z Urzędu to... *(dłuższy czas szydelkuje nie odzywając się, po czym spokojnie, niemal radośnie)* A na brzegach co dać: ząbki czy na gładko? Zebyście potem niezadowoleni nie byli. Przerabiać nie będę. Ani myślę nawet. *(szydelkuje i nuci)*

WŁADYSŁAW *(podchodzi do Heleny chwiejnym krokiem)* Jak powiedziałem, że ci krzywdy zrobić nie dam, to nie dam. Ja teraz za tobą stoję. Ja. Możesz to wszystkim powiedzieć. Całemu światu. I tym, co cię bez przerwy nachodzą, też.

MATKA Ty jej lepiej daj te pieniądze, co jesteś winien, to ona i mówić nie będzie musiała. Wystarczy, że komome zapłaci.

WŁADYSŁAW *(nie zwracając uwagi na słowa Matki, przyciąga do pieca krzesło, siada okrakiem, twarzą do Heleny, wydaję z kieszeni talię kart, niezgrabnie tasuje, po czym wyciąga po jednej w jej stronę)* Dzwoniec? Dzwoniec. Zotałdż?

Zotałdż. Wino? Wino. *(chwilę znów tasuje)* Teraz ci sztuczkę pokażę. *(chce zrobić harmonię, ale karty rozsypują się)* Nie wyszło. *(próbuję jeszcze raz)* Zawsze wychodziło, teraz nie wychodzi. Przestało. *(wstaje i pomalutku wraca do stołu)* Teraz to on mnie będzie musiał szanować. Mało szanować, on mnie będzie musiał bardzo. *(z trudem sadowiać się na krzesło przy stole)* I więcej już z domu nigdy nie wyrzuci. Już nie. *(cały czas bawi się kartami, usiłując zrobić jakieś sztuczki)* Stryj patrzy! No patrzy, no!

HELENA *(mówi coraz wolniej)* A wczoraj już termin dali, na Nowy Rok. Nowy Rok... I wyprowadzka. *(pauza)* Ot i tyle.

(Otwierają się drzwi do pokoju, wchodzi „odszykowana” Teresa. Jest w mini, ufarbowana na blond, włosy w nieładzie, wyraźnie resztką kunsztownej fryzury. Makijaż rozmazany, widać, że płakała. Jest tylko w jednym bucie – na bardzo wysokim obcasie. Idzie majestatycznie, cała uwaga skupiona na tym, by się nie potknąć. Obciąga spódnice, poprawia bluzkę. Kilkakrotnie okrąża kuchnię, za którą widać, że w końcu spod któregoś mebla wyciąga but, ale go nie zakłada, tylko tak jak przyszła, utykając wraca do pokoju i wolno zamyka drzwi. Cały czas wszyscy obserwują ją w milczeniu.)

MATKA *(przez chwilę patrzy z żalem na zamknięte drzwi, po czym mówi wolno, nostalgicznie)* Zupełnie jak z tym malarzem, co od pół roku chodzi po Rynku i krzyczy: „Dajcie mi ocharyny... ocharyny mi dajcie...” I przecież by mu dali, tylko nikt nie wie, o co chodzi. *(pauza, z naciskiem)* Nikt po prostu nie wie, o co jemu chodzi. *(pauza)* Całkiem jak z tą dzisiaj.

OJCIEC *(rozbawiony wskazując drzwi do pokoju)* Kaczka... Istna kaczka. Widziałeś, Władziu, jak to chodzi? Człap... Człap... Człap... *(podśmiewając się)* Moja żona urodziła kaczkę. *(wyciąga rękę w stronę drzwi)* Taś... Taś... taś... *(napętnia kieliszki)* Wypijmy za matkę kaczki. *(znów skwapliwie napętnia kieliszki)* I za jej ojca.

RYSZARD *(półgłosem, z niepokojem)* Ja tam przecież już siedziałem, jak niektórych z tych, co teraz do pracy przyjmują, na świecie jeszcze nie było. *(do Władysława)* Wyobrażasz sobie, ich jeszcze nie było, a ja już siedziałem. *(pauza)* A teraz kto wie... Może oni będą siedzieć, a mnie nie będzie. *(ze smutkiem)* Do wczoraj pewnie nie wiedzieli nawet, że taki zakład na ziemi istnieje. *(po dłuższej chwili)* I jaki obraz ci się z tego wyłania? Niewesoły, co? *(bierze do ręki małą szczotkę, staje za Władysławem i automatycznie zaczyna go czesać – trochę jak konia zgrzeblem)* Dla niemowląt. Niedawno żeśmy zrobili. Nowy wyrób. *(z czułością)* Mięciutka, co?

WŁADYSŁAW *(opędzając się)* Zostaw.

RYSZARD *(nie przerywając czesania, z nadzieją)* Ale przecież korzenia, na którym siedzą, nie podetną. Chyba nie podetną. Już tacy głupi nie są.

AKT IV

Noc Sylwestrowa – docierają dźwięki toczącej się w sąsiedztwie zabawy. W kuchni panuje półmrok. Nikt światła wpada jedynie przez okno. Na wersalce, w pościeli, śpią Ojciec i Matka, na rozłożonym fotelu przykryty kocem Władysław. Z głową opartą o stół drzemie Ryszard. Kuchnia ogółocona, przygotowana do wyprowadzki. Koto stołu – wielkie tekturowe pudło wypchnięte domowymi drobiazgami.

OJCIEC *(dłuższą chwilę kręci się na łóżku, pomrukuje)* Nie mogę spać... Nie wiem czego, ale jakoś nie... *(przysiada na łóżku, w końcu wstaje, chwilę przeciąga się, wkłada spodnie na szelkach, wolno, po omacku idzie do lodówki, nalewa sobie*

mleka, mówi półgłosem) Nie mogę spać. *(pauza)* Może bym się ogolił... *(rozgląda się bezradnie)* Wszystko pochowane, popakowane. Nie wiadomo, co gdzie jest. *(zauważa Ryszarda)* Dlaczego ty nie śpisz? *(nie czekając na odpowiedź, drepce po kuchni, mówiąc do siebie)* Wszystko już popakowane, tylko ruszać. *(nasłuchuje muzyki docierającej od sąsiadów, spoglądając w górę mówiąc z goryczą)* Bawią się, bawią... Bez różnicy im: dziś jest czy jutro. *(patrzy na wiszący zegar)* Zapakowali zegar? Nie zapakowali. Nie wiadomo, na co czekają. *(rozgląda się)* A radio? *(sprawdza)* Jak to powiązane... Wszystko się rozleci, ledwie podniosą... *(podchodzi do kredensu, wysuwa kolejne szuflady)* Żeby się czego nie zapomnieli. Najłatwiej zostawić, zmarnować *(pauza)* Coraz tam u nich głośniejsze, coraz weselej. *(z pokoju do kuchni wchodzi Teresa ubrana w coś bardzo lekkiego, najlepiej w białą halkę na ramiączkach, przytrzymuje jej brzegi, ruchy kołyszące jak przy tańcu ludowym, coś cicho nuci, podchodzi do dużego lustra, przegląda się)*

TERESA *(głosem cichym, pełnym jakiegoś naiwnego zdziwienia)* „Pomoce kuchenne: drugie drzwi od tyłu” – powiedział. Od góry do dołu popatrzył i: „Pomoce kuchenne: drugie drzwi od tyłu” – powiedział. *(kolibie się przed lustrem, nuci cicho)* Pomoce kuchenne... Rosłam sobie niewinna jak kwiatusek, skąd mogę wiedzieć, co wyrażają takie słowa? *(kołysząc się i nucąc, przechadza się po kuchni)*

MATKA *(sennie)* Chodź, Terenia. Połóż się... Jutro poopowiadasz za dnia. Teresa kładzie się obok Matki.

OJCIEC *(długo drepce niezdeterminowany po kuchni, coś poprawia, przestawia, w końcu przysuwa krzesło do okna, siada, spogląda w górę, laską kilkakrotnie stuka w ścianę, jakby przyzywając kogoś, mówi półgłosem)* Niedługo już się rozstanemy, co? Nie będziemy już sobie mogli tak rozmawiać. Skończysz się. *(chwilę siedzi nieruchomo, potem poufnie)* Ja do dzisiaj nie wiem, czym tyś się tak dorobił. Czego się nie tknąłeś, to ci szło. Inni co i rusz padali, ale ty nigdy. *(pauza)* A ja całe życie na tej kolei, do samej emerytury. I to na jednej stacji. Przez wszystkie stanowiska przeszedłem, aż do zawiadowcy. *(pauza)* Aż do zawiadowcy... To „aż” to tak dla żartu, od siebie powiedziałem, bo co tobie zawiadowca... Nie ta ranga, nie ta szarża.

(W kuchni zapada cisza, tylko Władysław kręci się na postaniu z boku na bok, w końcu unosi się i podpira głowę na rękę)

WŁADYSŁAW *(sennie)* Przez trzy tygodnie jak wół... *(pauza, z żalem)* Trzy pełne tygodnie, jeszcze jeden i wypłata byłaby. Jeszcze jeden i byłaby okrągła sumka. Całkiem niekiepska. *(pauza)* Tylko że w czwartym czujnik alkoholowy na bramie dali. *(dłuższa pauza, z goryczą)* Na wierzchu już prawie człowiek był, na samej górze. A nagle ciach – jak nożem. Z dnia na dzień wyrzucili. *(pauza)* Jednym gwizdem tego ustrojstwa podeptali mi całe życie osobiste i rodzinne. Było, nie ma – jak w ruskim cyrku. *(układa się do snu, cicho nuci)* Śpiewaj mi tak, kołysanki nuć, tylko nie rzuć, tylko nie rzuć.

TERESA *(siada na wersalce, głaszcze się po włosach, mówi apatycznie)* Na wypadanie radzą mydło siarkowe. Tylko czy mnie znowu tak wypadają? *(ciągnie się coraz mocniej)* Wypadają! O, o, jak... *(z żalem)* Zanim ufarbowałam, to prawie w ogóle. A teraz... Może ja i niepotrzebnie się ufarbowałam... *(kładzie się obok Matki)*

MATKA *(przytulając Teresę, sennie)* Śpij, Terenia, no śpij.

WŁADYSŁAW *(do siebie, wolno)* Co robotnik na tym wszystkim zyskał? Nic. A co stracił? Wszystko. To kto to jest robotnik? Robotnik to jest ten, który zawsze traci. *(pauza, cicho, z obawą)* Dobrze, jak w ogóle do domu wpuszczają. Jednym gwizdem, formalnie jednym gwizdem wszystko jakby zmiotło. *(przewraca się z boku na bok)* Ale twarde, każde zebro czuję.

OJCIEC *(nadal mówi w tej samej pozie, co poprzednio, nachylony do ściany i w tej pozie pozostaje prawie do końca aktu)* Ale jakoś nieszczęśliwie ci to twoje życie posłużyło. Zmarnowany. Zmęczony. Garbisz się, utykasz. Nie, nie, nie wyglądasz wcale młodo, jak na swoje siedemdziesiąt lat. *(pauza)* A ja zawsze prowadziłem unormowany tryb życia. Regularne posiłki, dużo na świeżym powietrzu, sporo ruchu. Zawsze wszystko jasne: dokładnie określony zakres obowiązków, grupa uposażenia. Żadnych takich podejrzanych interesów, wyjazdów, znajomości. Żadnych takich niepokojów i niepewności: wyjdzie – nie wyjdzie, uda się czy nie. *(po chwili cicho, z goryczą)* Pewnie, że żadnych... Z góry wiadomo, nic się nie uda, nic się nie zmieni. Gorzej mufa w kieracie taka praca. I dzień-noc, dzień-noc, świątek-piątek to samo. Czasami aż we łbie huczy, mąci się, więcej jak od peronu do peronu nie widzisz – tak ci nagle cały świat zmalął. *(z tłumioną złością)* Nie to, co ty. Zagraniczne podróże... Co chwila co innego... Ciekawie, kolorowo, jakieś projekty, marzenia, plany. *(ciszej)* Ja nie miałem nigdy żadnych takich marzeń, planów. Takich prawdziwych. *(pauza)* Jakże ja mogłem mieć?

RYSZARD *(budząc się)* „Nie nadaje się...” Co to znaczy nie nadaje się? Całe życie się nadawał, a teraz nagle nie. *(pauza)* „Przykro mi, ale dla pana już tutaj miejsca nie ma.” *(z szyderczym śmiechem)* Przykro mu... Jemu po prostu przykro... Dobrze. *(pauza)* To co ja mam teraz z sobą zrobić? Co? Z armaty mam się wystrzelić, bo dla mnie już miejsca nie ma. *(pauza)* A co to, nie ten sam człowiek, co i przedtem był? Nie ten sam?

TERESA *(siada)* Na schudnięcie wywary z morskich ryb radzą. Tylko czy ja jestem gruba? *(podchodzi do lustra)* Czy ja w ogóle byłam kiedy gruba?

MATKA Połóż się, Terenia. Daj pospać.

TERESA *(przed lustrem)* Bo wysoka to na pewno nigdy nie byłam. *(przez chwilę to wspina się na czubki palców, to opada na pięty, zrezygnowana)* Jak kto sam z siebie nie jest, nic mu nie pomoże. *(wraca na wersalkę, układa się obok Matki)*

HELENA *(wchodzi do pokoju, ubrana w szlafrok; rozgląda się zamyślona po kuchni, mówi wolno)* Pakuj się zawsze tak, jakbyś kiedyś jeszcze miała te bagaże nosić. *(pauza)* Kto to napisał? Filozof jakiś albo poeta... Raczej filozof. *(bierze z wierzchu pudła duży, zniszczony abażur, machinalnie odkurza go szmatką, siada przy stole naprzeciwko Ryszarda, mówi wolno, jak w hipnozie)* Dobrze, że to zima. Zimą nie mogą tak wprost na ulicę. Muszą dać coś w zamian. To jest gwarantowane ustawowo. „Rodziny, które popadły w niedostatek, znajdują opiekę państwa” – gwarantowane ustawowo, ja czytałam. *(z błogim uśmiechem)* Dobrze, że państwo się teraz nami zaopiekuje. Prawda? *(głaszcze Ryszarda po ręce)* Prawda?

OJCIEC Swoją drogą to nie do pojęcia, żeby taka marnota, jak ty, zaszła aż tak. Żeby w rękę takiej marnoty była połowa miasta. *(pauza)* Gdzie się obejrzeć, gdzie nie obrócić, ktoś z twoich za tym stoi. Kto przejął? Kto kupił? Kto kieruje? Wszędzie ty. Jakby już na całym świecie innego nie było – jedno nazwisko. Wszystko tu wasze. *(pauza)* Taka miernota... *(pauza)* A pamiętasz, jak na ciebie w szkole wołaliśmy: Trąba. Pamiętasz, bo ja pamiętam: Trąba. *(pauza)* Najgłupszy byłeś z całej klasy. *(upaja się)* Trąba... Trąba... Trąba... Tak wołaliśmy za tobą. *(pauza)* Mądry nigdy się nie dorobi, głupi prawie zawsze. Wyjątkowo celne przysłowie, nie, Trąba?

RYSZARD *(z goryczą, zawzięcie)* Jeszcze przyjdą do mnie... Na kolanach błagać będą, żebym wrócił. Tak, tak, przyjdą... Przyjdą na pewno. *(po krótkim namyśle z desperacją)* Albo ja pójdę... Pójdę, żeby im powiedzieć, że oni jeszcze przyjdą.

TERESA *(wstaje, wolnym kołyszącym krokiem chodzi po kuchni, za każdym razem mijając lustro zerkając w nie, w końcu przysiadła na skraju posłania Władysława, mówi cicho, poufale)* Ja mam trzydzieści pięć lat, wiesz? *(Władysław nie zwraca na nią uwagi, Teresa jeszcze ciszej, jakby zawstydzona)* Tak naprawdę trzydzieści

pięć skończyłam sześć lat temu. W maju czterdzieści dwa będę miała. *(kotysząc się miarowo, z rozpaczą)* Czterdzieści dwa lata mam. *(nagle przestraszona)* Ale nie mów nikomu. Nikt nie może wiedzieć. *(szarpie go błagalnie za rękę)* Ty nie powiesz nikomu, prawda? *(zaczyna bawić się swymi rozkudłonymi włosami, mówi wolno, uśmiechając się)* Tak naprawdę to jestem zupełnie siwa. Jak śnieg. Jak gołąb, taka. *(po krótkim milczeniu)* Mieć czterdzieści jeden lat to źle. To bardzo zła rzecz. Oni nie lubią, żeby kelnerka tyle miała. Nie życzą sobie tego. *(pauza)* A ja właśnie czterdzieści jeden... *(po krótkim namyśle, lekko zażenowana)* Właściwie to czterdzieści dwa. Tak... Bardziej czterdzieści dwa jak jeden. *(odchodzi w stronę lustra, cały czas kotysząc się i nucąc, w pewnym momencie odwraca się do Władysława, kładzie palec na ustach)* Ale ciui... ciui...

OJCIEC Kto ja jestem? Spójrz na mnie. Przyjrzyj mi się. Mam siedemdziesiąt lat, dokładnie jak ty, a jestem nikim. Dokładnie odwrotnie do ciebie. Przepracowałem całe życie uczciwie, a nikt mnie nie szanuje, nie poważa, nie ceni. Zupełnie jakbym nigdy nic nie robił, jakbym przeobijał się od płota do płota albo jakby mnie w ogóle nie było. *(szepem)* Myślisz, że ja nie widzę, jak ty na mnie patrzysz? Jak wy wszyscy na nas patrzycie?

WŁADYSŁAW *(siada na postaniu, wolno wkłada buty, przez dłuższą chwilę przygląda się im, kilka razy to wstaje, to siada, wykręca obute stopy na wszystkie strony, sprawdza, dramatycznie)* Rozlazły się. *(zdejmuje buty, bierze w dwa palce, demonstracyjnie odstawia jak najdalej)* Roboty nie ma. Butów nie ma. Dziękuję. I kropka. *(kładzie się na wznak z rękami pod głowę, z zalem)* Już to przed oczami noc w noc wszystko miałem, jak będzie. Noc w noc to jedno, jak do siebie wracam. Biorę pieniądze i jadę... *(rozmarzony)* Niby król... niby maharadża... niby wielmoża jaki... *(po dłuższej chwili)* Skończyła się parada dziada. *(przygrywa kilka tonów na harmonijce)*

MATKA *(spod koldry)* I po co po nocy na instrumentach grać, po ścianach stukać, życiorysy opowiadać? Czy to dnia mało? Trzeba spać, spać.

OJCIEC *(dalej w tej samej pozycji)* Ciągłe mieliśmy dojść do czegoś. Całe życie się mówiło: zobaczycie, my jeszcze do czegoś dojdziemy. A teraz ruszamy z tymi tobołami na grzbietach, nie wiadomo dokąd. *(pauza)* Będziemy się żegnać, co? Dwa, trzy dni i ruszamy. *(dłuższa pauza)* Żal ci będzie trochę? Będzie ci żal. Mogłeś sobie zawsze popatrzeć na nas tam od siebie, z góry. *(pauza, półgłosem)* A co do tego, że wyglądasz staro – to nieprawda. To ja utykam jak koń, ledwo co słyszę. Przez zazdrość tak powiedziałem. *(zawstydzony, coraz ciszej)* Całe życie ci zazdrościłem. Jak ja ci zazdrościłem... Co dnia, kiedy wracałem ze stacji do domu i patrzyłem w twoje okna, myślałem: żebym ja miał tak jak on. Albo nawet nie aż tak, chociaż trochę. *(pauza)* Będziemy się już żegnać. I ty mi nie życz na drogę niczego takiego, żadnych cudów znowu mi nie życz. Ty mi życz, żebyś ty się na mnie kiedyś jeszcze spojrzał jak na człowieka, jeden jedyny raz jak na człowieka. Wystarczy.

TERESA *(stoi przed lustrem bezradna, po chwili podchodzi do schowka, zza zastłony wydobywa ozdobnie opakowaną paczkę, kładzie na stole, rozwiązuje wstążki i wyjmując zrobiony przez Matkę kordonkowy obrus i serwetki; serwetki wolno rozkłada na stole, z obrusem idzie w stronę okna, rozpościera go pod światło, przygląda się, wraca do lustra, staje zamyślona, w końcu przypina z tyłu głowy jak welon ślubny, jego zwisające brzegi ujmując w dłoń i powoli jak w walcu zaczyna wirować po kuchni; po kilku okrążeniach przystaje, mówi cicho)* Może wyjadę. Wczoraj czytałam.... *(pauza)* Tylko czy to było wczoraj? I gdzie ja to czytałam? *(pauza)* Nie pamiętam.

RYSZARD *(do Heleny, nostalgicznie)* Chwilami wydaje mi się, że to ja do nich pójde pierwszy... Chwilami, że oni do mnie... A chwilami znowu, że już ani ja do

nich, ani oni do mnie... *(dłuższa pauza, z nienawiścią)* Duże pieniądze bym miał, to ten mój zakład bym kupił. Kupił. Siadł. I czekał. Aż go szlag trafi. Do imentu. A obok siebie jeszcze całą rodzinę posadził. Niech sobie też popatrzą. *(dłuższa pauza, niezdeterminowanie)* Późno już. Kłaść by się trzeba... albo wstawać... *(opiera głowę na stole, zaczyna się bawić pustą butelką)*

OJCIEC *(krząta się po pokoju, poprawia paczki, sprawdza)* Ludzie wynalazki epokowe robią, odkrywają jakieś atomy, planety, a ci nawet paczek powiązać nie umieją. Wszystko się roztrajda. *(drepcze nerwowo, w końcu znużony ciężko siada na krześle przy stole, z rezygnacją)* Po horyzont dojść możesz, a jakbyś kroku nawet jednego nie zrobił; jak było ci do tej twojej gwiazdki daleko – tak i jest. Ale iść trzeba. *(dłuższa pauza)* Noga za nogą, noga za nogą. Całe życie. Klap, klap, klap, klap. *(kląskaniem naśladuje stukot kopyt końskich)* Tylko nie oglądać się za siebie. *(kląska coraz ciszej, wolniej, aż zapada w drzemkę)* Świta, świta już.

RYSZARD *(kręcąc butelką młynka)* I poszło... poszło...

(Z oddali dobiega stara, sentymentalna melodia.)

TERESA *(zapatrzona przez okno)* A potem będzie dzień... słońce... południe... śnieg... Piękny dzień. I pójdziemy przez Rynek, dalej koło Urzędu, stacji i wszyscy będą nam się kłaniać, z daleka pozdrawiać, uśmiechać się. Tak będzie. Na pewno. Ale jutro. Wszystko będzie jutro.

Melodia zrazu cicha, stopniowo narasta, narasta. Wyciemnienie.